

Obecnie, kiedy rozpoczęliśmy w Wielkopolsce Rok Mickiewiczowski, warto przypomnieć choćby w ogólnym zarysie chwile pobytu naszego Wieszcza na ziemi wielkopolskiej. Była to jedyna ziemia polska, którą przejeżdżając, jak mówił, „rzemiennym dyszeniem”, poznał z bliska. Tu według świadectwa Bohdana Zaleskiego „wydumał” „Pana Tadeusza” i zaczerpnął tematu do niektórych „Ksiąg”. Tu powstała — choć w formie nieskończonej — „Reduta Ordona” i bajki według Lafontaine’a. Tu wreszcie stworzył „Ucieczkę”.

Nie posiadamy, niestety, wyczerpującej monografii o pobycie Mickiewicza w Wielkopolsce. Najpełniejszy zarys jego pobytu dał prof. dr Bogdan Zakrzewski w pracy pt. „Mickiewicz w Wielkopolsce”. Książka ta jest wyczerpana. Poza tym mamy również rzadkie wydanie Józefa Ostrowskiego o „Mickiewiczu w Wielkopolsce w 1831/32 r.”. Mnóstwo rozszaniach po czasopiśmie przyczynków i wspomnień mamy, poczynając od petersburskiego „Kraju w periodykach lwowskich, warszawskich, a zwłaszcza wielkopolskich. Nie było historyka naszej literatury, który by nie wspominał o pobycie Mickiewicza w Wielkopolsce, ale to tylko fragmentarycznie w związku z rozbiorem tego lub innego utworu Wieszcza.

Wybuch powstania listopadowego zastał Mickiewicza w Rzymie. Wiadomość o tym dotarła do Rzymu w grudniu 1830 r. Byli to wieści niejasne, niedokładne, zmacone poza tym przez ambasadę rosyjską, która dyskredytowała powstanie i jego przywódców. Mickiewicz chciał mimo to jak najprędzej wyruszyć do kraju, aby wziąć udział w powstaniu. Według pierwotnego planu mieli emigranci polscy okrętem dostać się na Litwę, lecz pomysł ten udermniał Szwecję, nie chcąc narażać się na Petersburgu. Mickiewicz postanowił wobec tego udać się do Wielkopolski i wtedy poprzez granicę prusko-rosyjską dotrzeć do powstania.

Podróż opóźniły trudności finansowe Poety. Bankructwo, jego wierzycieli paryskich przyniosło mu stratę 6000 franków. Gdyby nie pomoc przyjaciela Poety — Stefana Garczyńskiego (autor „Dzięków Wacława”), Mickiewiczowi bardzo trudno byłoby przybyć do Wielkopolski. Dokładna data przyjazdu w Poznańskie nie jest ustalona. Biografowie przyjmują początek lub połowę sierpnia 1831 r.

Mickiewicz nie znalazł się tu wśród obcych. Miał już nawiązane kontakty z Wielkopolanami w Berlinie w 1829 roku, no, i był przecież znanym pisarzem. Trochę przez snobizm, więcej z uwielbienia dwory szlacheckie poczytywały sobie za zaszczyt goszczenie wielkiego Poety, choć Mickiewicz chciał jak najprędzej dostać się do Warszawy.

Pierwszym miejscem pobytu jego było Kopaszewo koło Kościana. Stąd wyruszył do Śmiełowa, pod Żerkowem w powiecie jarocińskim, położonego w pobliżu granicy rosyjskiej. Granica była silnie strzeżona. Dziatali tu zgodnie zaborcy pruscy i carscy. W Śmiełowie stał oddział żołnierzy pruskich. Dla zmylenia czujności Prusaków Poeta wystąpił jako nauczyciel synów właścicieli Śmiełowa Gorzeńskich pod

ŚNÓWY ŚWIAT

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU”

Rok VI numer 20 Niedziela 22 V 1955

Mickiewicz w Wielkopolsce

„... Pozostał zatem w Śmiełowie, czekając lepszej sposobności ...”

Henryk Barański

nazwiskiem Adama Muehla. Co do przeprawy Mickiewicza przez rzekę graniczną relacje są różne. Cytując Józefa Ostrowskiego, B. Zakrzewski w swym studium przedstawia próbę przedostania się Mickiewicza przez granicę w sposób następujący:

„... w kilku miejscach (pod Śmiełowem) odbywały się przy pomocy zręcznych ludzi przeprawy do Kongresówki. Podej-

niemu udało się przepłynąć Prosnę. Poeta zaś, choć kiedyś indziej chwalił się, że umie doskonale pływać, nie mógł tego dokonać. Pozostał zatem w Śmiełowie, czekając lepszej sposobności”.

Nieumiejętność przedostania się do Kongresówki wpłynęła na Mickiewicza przynajmniej. W kilkanaście lat później, wspominając pobyt w Poznańskim, mówił, że „opowiadała go tam chęć samobójstwa; jedynie wzgląd na kłopot, jaki by sprawił gospodarzowi domu, gdzie mieszkał, odwiódł go od zamiaru”. Tam także podobno zamyślał wstąpić do stanu duchownego. Musiało się to dziać w Śmiełowie po nieudanej próbie przeprawy lub po wiadomości o upadku powstania.

Dzieje blisko ośmiomiesięcznego pobytu Mickiewicza w Wielkopolsce po nieudanej próbie przekroczenia granicy prusko-rosyjskiej — to osobna karta w jego życiu. Z oddalenia późniejszego nazwiska Poeta ten okres życia „rosłinnym” i „zwierzęcym”.

Echa pobytu w Śmiełowie znajdujemy w „Panu Tadeuszu”. Temu okresowi wielkopolskiemu należy się specjalna uwaga, i nieraz jeszcze o tym będziemy pisali.



Tak wyglądał pokój Mickiewicza w Śmiełowie.

mował się tego zwłaszcza dzierżawca wsi Komorze, Florkowski. Do niego postanowiono dowieźć Mickiewicza. Pod pozorem zwykłej przejażdżki z panią domu, jej dwoma synami i bawiącą wówczas w Śmiełowie panną Markiewiczówną, wsiadł Poeta do powozu. Gdy już byli na końcu wsi, żołnierze, stojący tam, zatrzymał powóz, ażeby się według danego rozkazu zapytać, kto i dokąd jedzie. Gorzeńska oświadczyła, że jedzie na zwykły niedaleki spacer, po czym dopiero żołnierze dalej ruszyć pozwolili. Tak minęło pierwsze niebezpieczeństwo. Za chwilę był w Komorzu. Dwa dni spędził ukryty na strychu u Florkowskich, ale daremnie; oświadczone mu bowiem kategorycznie, iż wskutek niezwykle czujności tak Prusaków jak Moskali (po drugiej stronie Pogorzelnicy, stanowiącej w tym miejscu granicę), nie można ani o przejściu tejże myśleć, ani o pozostawianiu dłużej w Komorzu.

Inaczej o tym pisze Aleksander Chodźko:

„Słyszałem — powiada — ustne opowiadanie Mickiewicza, jak z Poznańskiego, za pomocą jakiegoś chłopca przeszedł na ziemię Kongresowej Polski, ale tam bardzo niedługo bawił. Musiał natrafić na gęste strażę rosyjskie i uznał za stosowne wrócić do Komorza, skąd pod nowym pozorem przejażdżki odwoziona go pani Gorzeńska do Śmiełowa.”

Na podstawie „Dzienniczka” Henryki Ankiewiczówny, pisze Jan Siemieński, że „próbował Mickiewicz raz jeszcze w innym miejscu przedostać się przez granicę z Aleksandrem Potockim. Temu ostat-



Pieśni które wstrząsnęły światem

Kto o zmierzchu w jesieni 1925 r. szedł ulicami Saint Denis mógł zauważyć starego człowieka, który długim, haczykowatym drążkiem zapalał latarnie gazowe. Zawód tego człowieka: pracownik gazowni. Jego wiek: 77 lat. Pensja: 150 fr. miesięcznie. Nazwisko: Pierre Degeyter.

Nikt nie domyślał się, że ten starzec był twórcą pieśni, która będzie na ustach milionów ludzi: „Międzynarodówki”. Dnia 7 listopada 1927 r. stał Pierre Degeyter na trybunie honorowej na Placu Czerwonym w Moskwie i słuchał, jak orkiestry wojskowe

Armii Czerwonej grały jego pieśni. Razem z nim znajdowali się ostatni weterani Komuny Paryskiej. Gdy jeden z nich zapytał, co powiedział Degeyter, gdy słuchał Międzynarodówki, ten odrzekł: „Nie mógł nic. Patrzył i miał łzy w oczach”.

Międzynarodówka i Marsylianka miały z sobą jedno wspólne: obydwo powstały w jedną noc.

W późnych godzinach wieczornych 26 kwietnia 1792 r. w Strasburgu zamknął się w swoim kawalerskim pokoju kapitan pionierów armii francu-

cięcia gwardii szwajcarskiej. Marsylianka zwyciężyła 20 września pod Valmy, a 8 listopada pod Jemappes.

Tekst Międzynarodówki powstał w dniach gorzkiej klęski. 28 maja 1871 r. padła ostatnia barykada na Rue Ramponneau. Komuna zagasła. Terror szalał. W ciągu niewiele tygodni stracono 35 tysięcy rewolucjonistów. Wśród nich byli deputowani gminy paryskiej. Członek jej Eugène Pottier, robotnik fabryki włókienniczej, zdołał się ukryć. Był to twórca wiersza Międzynarodówki.

Okres głębokiej beznadziejności ustąpił miejsca pełnej nadziei i radości pieśni, jakiej nie znała dotychczas historia. Gdy Paryż ugiął się pod blagim terrorem, Pottier w oczekiwaniu śmierci pisał nieśmiałe słowa:

Debout, les damnés de la terre,
Debout, les forçats de la faim!...

Przeklęty powstań ludu ziemi,
Powstańcie, których dręczy głód!...

Eugène Pottier zmarł w listopadzie 1887 r. W pół roku potem znalazł się człowiek, który ten wiersz uskrzydlił pieśnią. Ale dopiero w 1899 r. pieśń ta z okazji pierwszego kongresu organizacji socjalistycznych Francji stała się oficjalnym hymnem socjalistów francuskich.

W 1902 r. powstał pierwszy przekład rosyjski. Tłumaczem był młody inżynier górniczy Arkadiusz Koc. W styczniu 1913 r., a więc w 25 lat po pierwszych dźwiękach melodii Międzynarodówki, „Prawda” ogłosiła o uznaniu pieśni Pottiera - Degeytera za hymn światowego proletariatu.

(fr. h.)

AL. BLIQUE FRANÇAISE
LIBERTÉ - ÉGALITÉ - FRATERNITÉ

COMMUNE DE PARIS

LE PEUPLE DE PARIS

AUX SOLDATS DE VERSAILLES

FRÈRES!

L'heure du grand combat des Peuples contre leurs oppresseurs est arrivée!
Abandonnez pas la cause des Travailleurs!
Faites comme vos frères du 18 Mars!
Unissez-vous au Peuple, dont vous faites partie!
Laissez les aristocrates, les privilégiés, les bourgeois de l'humanité se déchirer eux-mêmes, et de la Justice se faire établir.

« Vos fr... »

„Bracia! Wybiła godzina wielkiej bitwy przeciwko ciemiężcy! Nie porzucajcie sprawy robotników! Czyniecie, jak wasi bracia 18 marca!” — glosiły słowa, z którymi komunisty zwracali się w imieniu ludności Paryża do żołnierzy Wersalu. Od tego czasu mijają 84 lata. W maju 1871 padła ostatnia barykada komunistów, oprawcy ludu francuskiego święcili triumfy. Pieśń, którą śpiewał paryski proletariot, nie zamilkła...

*) Dane zaczerpnęliśmy z książki dziennikarza czechosłowackiego Franciszka Gela, która niedawno ukazała się w Pradze. Jest to praca ponierska. Na język niemiecki przełożył ją dr Hans Gaestner. Zdjęcie u góry przedstawia barykadę komunistów na rue Ménilmontant.

Wiosenne podarunki

Tradycyjne już Dni Oświaty, Książki i Prasy są szczególnym świętem dla pewnego rodzaju ludzi — coraz liczniej zresztą mnożącego się w naszym społeczeństwie. Do tego rodzaju należą wszyscy czytelnicy i miłośnicy książek, zwłaszcza zaś literatury pięknej, potrafiący godzinami wystawać przed oknami wystawowymi lub przy ladach księgarskich w poszukiwaniu upragnionej zdobyczy. Dla nich to, a także dla tych, którzy może dopiero teraz popadną w zaraźliwy nałóg czytania i zbierania książek — wydawnictwa przygotowują podarunki w postaci literackich edycji znanych utworów (jakich wciąż jest za mało) i nieznanymi (jakich na pewno będzie za mało). Spróbujmy przeżyć pierwszą, może najsilniejszą radość solenizantów, wyobraźmy sobie, co otrzymamy i rozejrzyjmy się w zapowiedziach wydawniczych utworów literackich na maj i czerwiec.

Maj, wiosna, miłość... czegoż tu jeszcze brak? Oczywiście poezji. Jej potrzeba jest tym bardziej aktualna, że przecież rok bieżący został poświęcony pamięci największego z poetów, jakich kiedykolwiek po-

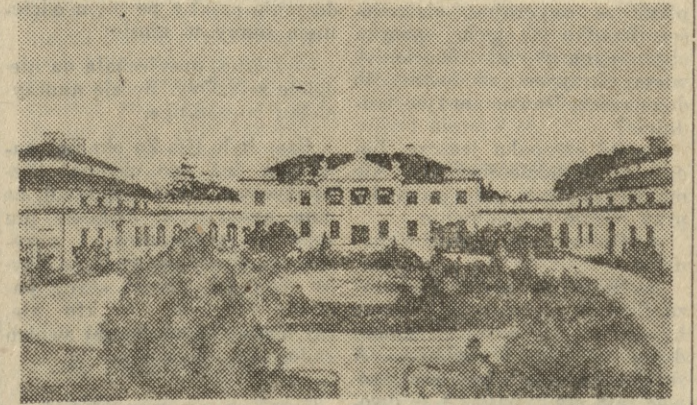
siadała nasza Ojczyzna. To też na czele poetyckich podarunków wydawniczych musimy umieścić tomy Wydania Jubileuszowego (między innymi nowy tom XVI, zawierający listy i wzniesienie tomu IV i VIII) oraz edycję popularną poezji Adama Mickiewicza — wszystko nakładem „Czytelnika”. Razem z nimi otrzymamy w maju również wybór dzieł tego, na którego utworach Mickiewicz kształcił i czytelował swoje rzemiosło poetyckie — Jana Kochanowskiego. Ponowne, trzynomowe, wydanie tego wyboru przez PIW świadczy o tym, że wysiłek włożony w Roku Odrodzenia w popularyzację utworów mistrza z Czarnolasu wśród naszego narodu nie poszedł na marne (20 000 nakładu!).

Z tych dawniejszych i dawnych czasów przejdźmy do klasyków naszej poezji, którzy tworzą obecnie lub jeszcze niedawno żyli wśród nas. Myślę przede wszystkim o zapowiedzianym na maj przez „Czytelnika” pierwszym tomie zbiorowego wydania dzieł Tuwima (nakład 40 000). Tuwim był artystą wszechstronnym: poetą, tłumaczem, kolekcjonerem najróżniejszych

(Ciąg dalszy na str. 3)



Kopaszewo pod Kościanem. Pierwsze miejsce pobytu Mickiewicza w Wielkopolsce.



Dwór w Śmiełowie, w którym Mickiewicz czas dłuższy przebywał w roku 1831.

PERŁA

Opowiadanie

Załowalem już w duchu uległości: — po kiego diabła było mi się właściwie ruszać z ograniczonego mieszkania i jechać z nimi na to polowanie? Bez strzelby, bez myśliwskiej żyłki i zapachu nawet, więc tak czy inaczej widziałem się jedynie w pożalowania godnej roli gapia. I do tego jeszcze pogoda...

Bure chmury, zalegające nad lasem tak nisko, że zdawało się iż przysiadają wierzchołki sosen — nie wróżyły nic dobrego. Tylko patrzeć, a pompa się zacznie krajać!

Istotnie, nie uszliśmy ani pół kilometra i pierwsze, grube krople zabębniły po suchym jesiennym listowiu. Ale na krótko jedynie. Nim zdążyłem pomyśleć, że deszcz się narazczy jak kura na jajo i pewnie w drodze do gajówki nas jeszcze pokropi, odezwał się Gienek:

— Rosa kapie... — wyśpiewał swoim rosyjskim akcentem i delikatnie obtarł rękawem krople osiadłe na lufie automatu.

— Rosa, uważaj, żeby ci lufy w rynnę nie zamieniła ta rosa! — powiedziałem ze złością, podnosząc kołnierz kurtki. Deszcz jednakże nie padał.

Dopiero w gajówce przy kubku gorącego mleka odzyskałem humor. Wisielczy wpraw-

plataninie trzciny i trzeba było dobrze robić wiosłami, żeby się jakoś wydostać na otwartą wodę.

Płynęliśmy już dobrą godzinę i ani głośnie pokrzykiwania: kwa, kwa, ani klaskanie nie wypłoszyło żadnej kaczki z szuwarów. Później, na kolejnym zakręcie poderwał się niespodziewanie ciężki kaczor. Gienek stojący na przodzie łodzi wystrzelił. Lecz musiał go lekko tylko skrobać śrutem po kuprze, bo oprócz kępki pierza nie zgolił na wodę nie spadło.

Płynęliśmy dalej. Za trzcinami, u brzegów rzeki stały co kawałek jesienne brzozy. Od dołu gołe już całkiem, tylko na smukłych czubach zachowujące jeszcze resztę żółto-złotych liści. Wiosłowanie po kilku godzinach zaczęło mi wchodzić w kości. Stojąca prawie woda stawiała opór obciążonej łodzi i jazda nasza odbywała się w zaiste żółwym tempie.

Na żerowiskach kaczyczych przy Młynie było cicho i pusto. Nawet Sławenty desperackim wystrzałem nie spłoszył spodziewanych kaczek. Zawróciliśmy. Do Budziszewskiego jeziora trzeba było się wlec kryjąc w górę rzeki. Jazda pod prąd szybko przekonała mnie, że Welna jednak płynie. Pod mostem, który przerzucony jest nad rzeką u jej wylotu z jeziora, byłem już prawie bez sił.

— Przecież mówiłem, że szkoda zachodu. Ale wy jechać, jechać...! No, to i macie! — zadrwiłem.

— Chodź pan z nami do Młyna na złot! — wtracił leśniczy. — Jak tam coś nie padnie, to niech mnie pokreśli!

— Lepiej już, żeby nie kręciło, bo by wam ta dziewczyna, coście jej męża na przeprowadzkę zwolnili, wdzięczności nie mogła okazać. Graty wieźli tu tylko co.

— W którą stronę?

— W tę. Chłop szedł przy wozie. Gidia, wysoki a chudy...

— A, to Perla resztę przewoził do spółdzielni. Domki pobudowali nowe. Dla niego też. Stelmach na miejscu przecież potrzebny. Mieszkał za lasem. Dochodzić, to żadna robota!

— Pewnie. Nie wiedziałem, że ten Perla jest stelmachem. Skąd mogłem wiedzieć? Zresztą, co tam...

— I muzyk, panie kochany, sam skrzypki majstruje! Ale chodźmy, wnet się ściemni i kaczki przeleca.

Nie trafili już do mnie te ostatnie słowa leśniczego. Ciekawość poznania Perły, człowieka o niezwykłym nazwisku i rzadkich zdolnościach lutnika pociągnęła mnie tak, że poszedłem do wsi, gdzie mieszkał.

Mieszkał kątem przez ścianę z nami w czworakach. Gadan o nim we dworze i we wsi, że mu rozumu nie staje. Pietryka się nazywał. Ale głupi to on nie był. Tylko niedza ostatnia. Krówska to pasalo w lecie, a ja byłem przy nim, do pomocy. Dłubał sobie te skrzypki i dłubał, przygrywał na nich. No, i nauczył mnie Pietryka i grać, i strugać. Dzieci nie miał i jak mu się pomarło, to mnie przypadły statki po nim. I skrzypce po nim mam. Grał na nich przez lata.

— Głos mają dobry chyba?

— O właśnie. Z tym głosem to ciężka sprawa. Bo weźcie no tak na rozum. Jak skrzypki są dobre i ton mają czysty, to wszystko, co zagrać, dobrze powinno wychodzić. Prawda?

— Powinno... Zresztą nie

znam się na tym specjalnie.

— Widzicie, te skrzypki po Pietryce dobre niby. A grać na nich tylko coś wesłego — nie wychodzi. Falszują jakby wyciągał z nich smykem muzykę na siłę. Nic tylko lament i lament z nich jakiś wychodzi. Stary takie żalosne śpiewki grywał. Weźmy teraz moje skrzypce dla przykładu, to znowu całkiem odwrotnie. Czym to idzie...

— Może drzewem. Od drzewa wiele podobno zależy w skrzypcach.

— Ja hym powiedział, że w tym razie drzewem nie idzie. Jeździłem już po drzewo tam, skąd pochodzę. Pietryka też tam brał drzewo na swoje. Bo ja sprowadziłem się tu dopiero po wojnie. Gospodarkę mi dali poniemiecką. Przywoziłem to drzewo, budowałem skrzypki tak, jakbym Pietryce na palce patrzył. A skrzypki już nie te. Jego skrzypce każde plakały. Moje się znowu śmieją... Wiadac to już ręka idzie. Bo jakby inaczej?

— To te ciekawe. Wierzyć się nie chce, żeby tak znowu...

— No, to posłuchajcie — wstał Perla od stołu i podszedł do szafy. Wyjął z niej najpierw nowe, jasne politowane skrzypce i położył przedemną na stole. A potem odwinął z jakiegoś białego płótna skrzypce starego Pietryki. Były ciemne, mocno już widac wygrane. Pod strunami, gdzie smyczek się ciągnie, grubą warstwą leżał jak szron biały pył kalafonii.

— To te — rzekł Perla, stukając lekko palcem w wytarte do białości dno skrzypiec. Podstroił je trochę, przyłożył pod brodę i zagrał.

Melodia zlatywała spod smyczka tęskna jakaś i smutna. Nie potrafiłem jej bliżej określić nawet. Pomyślałem sobie tylko, że skrzypce rzeczywiście plażą. Lecz nie był to płacz zwyczajny. Był to raczej — jak powiedział Perla — lament...

Gdy zaś zagrał potem na tych samych skrzypkach wesóły, weselnym kawałek, przynależał mu raczej znowu: wychodził to tak, jakby się śmiał ktoś przez łyż. Ta wesola, skoczna melodia była chyba specjalnie krojona na jego własny instrument. Jego skrzypce oddawały ją wiernie, prawdziwie.

— I co wy na to powiecie? — zapytał Perla po skończonym koncercie. — Jest jaka różnica czy nie ma.

— Jest, jest, wyraźna różnica...

Nie dokończyliśmy rozmowy. Otworzyły się bowiem drzwi i w progu stanęła dziewczyna może szesnastoletnia. Rozczarowała się po mieszkaniu i powiedziała ze śmiechem:

— No, nareszcie po przeprowadzce! W nowym domu zaraz inaczej. Wszystko pewnie przez to światło elektryczne...

Perla przycisnął ją do siebie i pocałował w oba policzki. A do mnie rzekł z pewnym odcieniem dumy w głosie:

— Córką, przyjechała na niedzielę ze szkoły. Będzie nauczycielką /niezadługo.

Czas było iść. Za oknami padała już noc ciemna, bezkiesiycowa. Perla wyszedł ze mną przed dom. Podałem mu rękę na pożegnanie. I przyszedł mi wtedy na myśl, że gdyby dziś był jeszcze stary pastuch Pietryka, to kto wie, czy by też nie zbudował swoich radosnych skrzypiec.

1954 r.

Powieść sensacyjna poznańskiego autora

Nakładem wydawnictwa „Iskry” ukazała się powieść Piotra Guzgo — „Następny odchodzi 22.25...” Jest to w pewnym sensie debiut — pierwsza drukowana poznańskiego autora (faktyczny debiut pt. „Nočný zrzut” ukazał się... w czerwcu). Niewielka książka jest zbudowana według klasycznych wzorów powieści sensacyjnej. Fabuła jest niebanalna, powieść czyta się z napięciem (maksymalnie w ciągu trzech godzin). Warto więc zainteresować się nowym wydawnictwem.

Konfrontacje, które uczą

Cztery imprezy w ostatnich tygodniach, stanowiące nie lada atrakcję w życiu kulturalnym Poznania, były okazją do porównania mistrzostwa wykonawczego w różnych dziedzinach sztuki, reprezentowanej przez wybitnych artystów zagranicznych. Dopiero z pewnego dystansu czasu można ocenić wyjątkowość tych „konfrontacji kulturalnych”, pozwalających na wymianę doświadczeń artystycznych najwyższej rangi. Obok nikłego procentu snobów, spora ilość zapalnających szczerze widownię słuchaczy, przeżyła niezapomniane chwile, w wielu wypadkach umożliwiające nowe, twórcze i odkrywcze „odczytanie” arcydzieła.

18-osobowa orkiestra smyczkowa W. Strossa z Monachium, muzykująca od przeszło piętnastu lat i skupiająca w swych szeregach profesorów, koncertmistrzów i kameralistów-wirtuozów nauczyła nas właściwej oceny roli zespołu kameralnego w szlachetnej popularyzacji tej najbardziej intymnej, choć wymagającej już pewnego zaawansowania — formy kolektywnej odzwierciedlającej muzyki. Stylowość samych instrumentów, ich ilość, zestrojenie, jak i sama genialna interpretacja dzieł Bacha i jego synów, składa się na wspólnie słuchowsko, przypominającą ce poprzez swą polifoniczność operowanie rejestrami organowymi. Absolutna dojrzałość techniczna składa się na intonacyjnie czysty i rytmicznie pewny, kryształowy obraz gry, nie trzymający się kurczowo sztywnych schematów, ani też nie unowocześniający zbyt jaskrawo tanimi efektami dzieł Bacha.

Specjalnego charakteru nabiera w Poznaniu recital skrzypcowy Igora Bezrodnego, w mieście II Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. H. Wieniawskiego, w którym Igor Ojstrach i Sitkowiecki — zdobyli dwie pierwsze nagrody. Po występach Wajmanna jest to czwarty wielkiej klasy skrzypce-wirtuoz ZSRR, goszczący w naszym mieście po wojnie, godny następcą Dawidów Ojstrachów i Leonidów Koganów.

Olbrzymi, odpowiedzialny repertuar od klasyki do muzyki współczesnej określa Bezrodnego jako skrzypka wszechstronnego o niezwykłej inteligencji muzycznej i żywiołowej dynamice, który szczególnie w muzyce no-

woczesnej zabłysnął wszystkim walorami rasowego wirtuozu. Debussy, Ravel, Prokofiew — to kompozytorzy najbliżsi wyobraźni twórczej Bezrodnego, grani z blaskiem i precyzją rzadko spotykaną. Barokowa sonata Locatello w opr. E. Ysaya pt. „Nad grobem”, a zwłaszcza Rapsodia Ravela „Tsigane”, ukazały walory gry Bezrodnego, jako też współtowarzyszące równorzędnie pianistki — Sofii Wokmann. Umiejętne frazowanie i znakomita technika flażoletowa złożyły się na niezmącony obraz tego arcydzieła, podanego z najwyższą kulturą i dystynkcją.

W Poznaniu — posiadającym własną Operę, która zebrała tyle laurów w Moskwie — występ liryczny sopranistki koloraturowej — Goar Gasparian, jak i pary tanecznej — I. Tichomirnowej i G. Lediacha, był specjalną atrakcją.

Goar Gasparian reprezentuje „szkołę włoską”, zarówno w materiale, jak i w technice głosowej. Mistrzowskie sformułowanie i niekazitelną dykcję w językach: — włoskim, francuskim, rosyjskim, arabskim i niemieckim, przy ogromnej ekspresji aktorskiej, dała słuchaczowi każdej pieśni i arii, w wykonaniu tej artystki, wyjątkowe przeżycia. W pierwszej części usłyszeliśmy Gasparian w repertuarze narodowym, pieśniach rosyjskich i radzieckich, w drugiej zaś — arie i pieśni różnych narodów z Bachem, Mozartem, Rossim, Meyerbeerm i Verdim na czele. Szczególnie pięknym głosem śpiewa Gasparian kolysankę z opery „Joce-lyn” — B. Godarda, „Ave Maria” — Gounoda na bis i słynną „Arie z dzwonkami” z opery „Lakmé”, jak i marsz à la Turca — Mozarta.

Irina Tichomirnowa — zasłużona artystka ZSRR i laureatka nagrody stalinowskiej oraz Genadij Lediach — laureat międzynarodowych konkursów festiwali młodzieży — reprezentują najlepsze tradycje rosyjskiej szkoły baletowej. Jest to para spadkobierców najlepszej wirtuozerii tańca klasycznego z Haliną Ulanową, Mariną Siemionową i Olgą Lepieszyńską oraz Messererem, Czabukanim i Siergiejewem na czele, zarówno w dziełach, opartych o libretto autorów romantycznych, jako też współczesnych. Wspaniała technika tańca podporządkowana jest idei muzycznej dzieła, nawet w najbardziej ryzykownej figurze akrobatycznej, umiejętnie zsynchronizowana z całością kompozycji, jak np. w bisownym na zakończenie pokazu tańca „Walc” — M. Moszkowskiego przy akompaniamencie koncertmistrza Państwowego Akad. Wielkiego Teatru w Moskwie — Aleksieja Zybcewa.

„Melodia” Chr. W. Glucka — ta mglawicowa alegoria o melancholijnym temacie, zachwyca swobodą i lekkością wykonania oraz szlachetną linią kompozycji plastycznej.

„Jeziorno łabędzie” oglądaliśmy w Poznaniu we fragmentach baletu angielskiego i zespołu baletu moskiewskiego. Tym razem znakomitym gościom towarzyszył w II akcie corps de ballet naszej Opery, wyszkolony znakomicie przez St. Miszczyka, oraz orkiestra Opery Poznańskiej pod batutą Mariana Szczesnowskiego. Lediach imponował siłą i precyzją skoku oraz piruetów. Tichomirnowa zaś w nieskazitelnym arabesce i fenomenalnej ekspresji gestu (znakomity ruch skrzydeł łabędzi). Słusznie stwierdził Feliks Parnell w podziwie za ucztę artystyczną, że „nie tylko podziwialiśmy, ale znowu wiele nauczyliśmy się”. Oby tych „lekcyj piękna” wypadało jak najwięcej! Prosimy o to gorące oklaski widowni.

TEODOR SMIELOWSKI



Rys. L. Kapczyński

dzie, ale zawsze... Gajowy rad był z niespodziewanych odwiedzin i gotów bezzwłocznie wypłynąć z nami na rzekę. Zabrał więc fuzję, wiadro i wiosła i poszliśmy. Psom nie musiał też dwa razy powtarzać. Pobiegły przodem: zgrabny, aportujący legawiec i pocieszny kundel, który ponoć zdził pod świstą podchodził bez obaw, ale za to z wrzaskiem wręcz nieproporcjonalnym do swej lichej osoby.

Łódź, tęga i ciężka, stała w maleńkiej zatoczce obok przegniętego przelazu. Leśniczy zawiesił fuzję na poręczu mostku i zaczął wiadrzem wylewać wodę, która wypełniała ją do połowy prawie. Poszło to sprawnie. Usadowiliśmy się potem w łodzi we czterech. Gienek stanął na przodzie z bronią gotową do strzału. Leśniczemu i mnie przypadło wiosłować. Sławenty zaś na pozór miał pozycję wygodną do strzału, ale faktycznie uganiał się z psami, które niespokojnie czapały po mokrym dnie i przyskakiwały mu w twarz.

Urządzili wspólnie, że najpierw popłyniemy z wodą do Młyna, gdzie kaczki mają swoje żerowiska, a dopiero gdyby tam nie się trafiło zawrócimy na Budziszewskie jezioro.

Ledwie odbiliśmy od brzegu do przelazu dobiegła od leśnicówki jakaś dziewczyna. Wołała na leśniczego głośno i zapamiętale.

— Co tam macie za interes?! — zapytał leśniczy. Gadajcie, a szybko!

— Żeby pan leśniczy męża zwolnił na dzisiaj! Dostaliśmy mieszkanie. Perla się wyprowadza! To po nim... i konie są akuraty!

— Dobra, niech idzie! — odkrzyknął leśniczy. — Boście się pewnie nie wyspali jeszcze razem u teściów!

Perla... Perla. Takie nazwisko rzadko się spotyka — pomyślałem sobie w duchu. Chciałem nawet zapytać leśniczego kto zaczął ten Perla, ale lódz utkwiała nam właśnie w gęstej

Zamierzałem wysiąść, ale skoro minęliśmy most oni zoczyli w oddali stado kaczek na wodzie. Zaczęła się więc mordercza pogoda.

Chcieli podjechać je przy brzegu i jakoś dostać na strzał. Godzinna gonitwa okazała się bezcelowa: stado odpływało przezornie w niekończącą się przestrzeń jeziora.

— Soli na ogon...! — powiedziałem, gdy lódz osiadła na przybrzeżnej mieliźnie. — Ja wysiadam. Płynięcie sobie, będę czekał na was przy mostku.

I nie reagując na namowy i próby zatrzymania wyskoczyłem na brzeg.

Do mostu doszedłem sobie wolniutko w niespełna pół godziny. Oparłem się o drewnianą barierę i wyczekiwałem na powrót łodzi. Zbliżała się powoli ledwie widoczna w pasie cienia, który rzucała na nadbrzeżne wody jeziora wysoka ściana lasu. Było cicho. Tylko dźwięki kul gdzieś zapamiętale w pień drzewa.

Później wyjechał z lasu wóz dwukonny, załadowany jakimś gratami. Koła skrzypiały sucho na nierównościach drogi leśnej, a las potęgował jeszcze ten głos i roznośił. Pomyślałem sobie, że to pewnie dziewczyna się przeprowadza od teściów, na miejsce Perły. Ano, cóż — niech się jej darzy!

Ale na wozie nie było nikogo. Dopiero gdy zrównał się ze mną, dostrzegłem, że kroczy przy nim chłop wysoki i chudy jak tyka, a ogorzałej twarzy Cygana. Wóz przejechał po moście i znowu nastała cisza.

Łódź dobiła niebawem. Nie zamierzali już płynąć dalej, do gajówki, ale wjechawszy w trzcinę, przypięli lódkę łańcuchem do drzewa. Słońce zachodziło prawie za las i mrok w lesie gęstniał, choć na wodzie wydłużały się dopiero długie cienie sosen.

— Wymarzłeś? — zapytał Sławenty, gramoląc się przez nadbrzeżne bagnisko. — A my, uff!... spoceni. Tylko bez kaczek...

Nad „Pamiętnikiem Wacławy” „Faraonem” i „Janem z Teczyna”

18 maja 1910 roku zmarła Eliza Orzeszkowa. Nazwisko jej, zwłaszcza dzisiaj, gdy dzieła wielkiej pisarki wciąż są wznawiane, zna chyba każdy. Książki Elizy Orzeszkowej znajdziesz dziś w każdej bibliotece. Zdobywają one sobie wciąż nowe zastępy czytelników, którzy nie zrażeni doświadczeniami, nie dzisiejszym stylem pisarki, potrafią odnaleźć w jej dziełach to, co w nich jest nieprzemijające.

Panna z obywatelskiego domu pod Grodnem, wychowywana na „motylka salonowego” w elitarnym pensjonacie w Warszawie, przeszła trudną, pełną wyrzeczeń drogę, zanim stała się twórcą o bardzo postępowych, jak na owe czasy, tendencjach. Dramat osobistego życia (nieodbrane małżeństwo z Piotrem Orzeszką, obywatel z Wołynia, wnet się rozchwiał), dramat narodu po klęsce 1863 roku, stosunek szlachty do chłopów, nędza wiejska i wiejska ciemnota, która dręczyła serce kobiecie, wszystkie ciemne strony życia nie pognebiały Elizy, lecz wręcz przeciwnie — hartują i wiodą na drogę twórczą, z której już nie zбочyła.

Po sprzedaży majątku ojcowiejskiego pisarka osiadała na stałe w Grodnie i nie opuszczała tego miasta aż do śmierci. Tymczasem jej sława zataczała szerokie kręgi. Jej powieści tłumaczone są w Niemczech, Szwecji, Czechach i Rosji, nie mówiąc już o tym, że stała się wydarzeniem literackim kraju. Ma lat 24, gdy warszawski „Tygodnik Ilustrowany” umieszcza jej pierwszą próbę — „Obrazek z lat głodowych”, który od razu zwrócił uwagę na nieznaną piórko. A potem każdy już prawie rok przynosił nowe dzieło. „Pamiętnik Wacławy”, „Marta”, „Maria”, „Ostatnia miłość” i „Pan Graba” — to powieści poświęcone kwestii kobiecej i związanej z nią sprawą wychowania. „Do-

póki kobiety — pisze — nie wzniosą się myślą ponad błyskotki i próżność, póki będą stały w społeczeństwie jak lalki, dzieci, bóstwa, albo kwiatki, a nie jak ludzie, póty w życiu społecznym brakować będzie pierwszej podstawy dobra”. Stając się ideowym sojusznikiem pozytywizmu warszawskiego, potrafiła w takich dziełach, jak: „Eli Makower”, „Meir Ezołowicz”, „Dziurdziowie”, „Nad Niemnem”, „Cham”, „Z różnych sfer” dostrzec nędzę i poniżenie człowieka w ówczesnej społeczności.

W jej twórczości odnajdziemy odbicie wszystkich ówczesnych zagadnień społecznych.

Pióro, oparte na żywej obserwacji, na konkretnych, pełnych realizmu, zdobyło jej należne miejsce w naszej literaturze. Czytajcie Orzeszkową!

★

Drużyna rocznica — jest rocznica Bolesława Prusa. Zmarł 20 maja 1912 r. Chociaż o tym polskim Dickensie nikomu przypominać nie potrzeba, bo wciąż jest żywy i wciąż się do nas mądrze i wyrozumiale uśmiecha, to jednak w rocznicę jego odejścia raz jeszcze pokłonimy się temu wielkiemu człowiekowi i jednemu z największych pisarzy, jakich wydała nasza ziemia.

Bolesław Prus — to Warszawa, to Polska temu współczesnym dni. Jest kronikarzem naszego życia, jest w swych wspaniałych „Kronikach tygodniowych” znakomitym publicystą, poruszającym wszystkie sprawy, jakimi żyje ówczesne społeczeństwo. Poza tym, a raczej równocześnie, staje się jednym z najlepszych naszych nowelistów. Jego nowele, zebrane później w „Szkicach i obrazkach” — to arcydzieła obserwacji, humoru, ludzkiej mądrości, dobrego serca i wielkiego talentu. Hur-

mor Prusa jest humorem mędrca, który uśmiechem pokrywa bardzo nieraz zadumane i smutne oblicze. Gorącym współczuciem otacza ludzi słabych, biednych, prześladowanych przez los. On jeden z pierwszych w naszej literaturze pochylił się nad polskim dzieckiem („Przygody Stasia”, „Sieroca dola”, „Anielka”), ten mały światek znajduje w Prusie doskonałego znawcę i odtwórcę. W „Placówce” daje mistrzowski obraz fanatycznego przywiązania chłopięcego do ziemi, której grozi wroga zagłada. W „Lalce” — znów pierwszy w naszej literaturze — daje obraz życia wielkiego miasta, Warszawy, z jej wszystkimi warstwami i klasami. W „Emancypantkach”, w największym rozmiarach powieści, daje swój swoisty pogląd na kwestię kobiecą, nie zgadzając się z zupełnym zrównaniem obu płci i wyznaczając kobiecie odmienny zakres działania. Terenem działania kobiety — według Prusa — to sfera uczucia.

Niespodzianką dla jego wielbicieli był „Faraon”. Prus, obserwator chwili bieżącej, przenosi się nagle w XI wiek przed naszą erą i może pod wpływem „Salambo” Flauberta wskrzesza dawny Egipt. Ale i tutaj raz jeszcze rozgrywa walkę rozumu z uczuciem. Młody Ramzes, rządzący się tylko impulsem, przegrywa walkę z kasty mądrych lecz egoistycznych kapłanów. Lecz uczucie i tak zwycięża, gdyż władcy Herhor musi wprowadzić w czyn reformy Ramzesa.

Uczy nas Prus wiary w ustawiczny postęp ludzkości, „którego motorem może być tylko uczucie, posługujące się bronią rozumu”. Wielki talent Prusa sprawia, że dzieła jego żyją po dziś dzień, zawsze świeże, zawsze barwne, zawsze porywające.

★

Przenieśmy się teraz w inną epokę, epokę stanisławowską. Powita nas tam Julian Ursyn Niemcewicz.

21 maja 1841, w chwili zgonu, miał lat 83, a za sobą życie bardzo barwne, pełne przygód, wrażeń i pracy. W młodości był adiutantem generała ziem podolskich ks. Adama Czartoryskiego, potem, zwyczajem ówczesnym, wóczył się trochę po Niemczech, Francji, Anglii i Włoszech. W czasach Sejmu Wielkiego widzieliśmy go znów w Warszawie, w obozie reform i postępu, w roli posła inflanckiego, gdzie gromił zezarzące nalogi, „liberum veto” i wolną elekcję, gorąco broniąc praw ludu. Lecz trybuna poselska mu nie wystarczała. W „Powrocie posła” przenosi program postępowej partii na scenę, dając żywy utwór satyryczno-polityczny, który z miejsca zdobył wielkie powodzenie. Laury autorskie zasmakowały naszemu po słowi, toteż w rocznicę Konsty-

WIELORYBY — ZE ZNAKAMI

Znakowanie ptaków jest znane już od dawna i służy do ustalania szlaków wędrówek narysowanych skrzydlatych przyjaciół. Ale czy wiecie, że metodę znakowania również zastosowano w odniesieniu do największych ssaków morskich, jakimi są wieloryby?

Corocznie krążą na oceanach Arktyki i Antarktydy floty wielorybnicze, szukające tych cennych zwierząt. Celem ustalenia wędrówek wielorybów, wychodzą w morze specjalne kutry, zaopatrzone w urządzenia dla znakowania. Napotkane zwierzę zostaje trafione strzałą, na której umieszczone są dane co do miejsca i daty spotkania wieloryba. Gdy załoga jakiegoś kutra wielorybniczego ustrzeli go podczas swego rejsu, zobowiązana jest odesłać znalezione znaki do Instytutu Biooceanicznego w Cumberland. Pozwala to na prowadzenie badań zwyczajów i wędrówek owych zwierząt, a w następstwie przyczynia się do racjonalniejszego stosowania przepisów ochronnych.

ŁOWIENIE RYB W PAJECECH SIECI

Mieszkańcy wysp Pacyfiku posługują się podczas po-

tućci Majowej odegrano drugą jego sztukę „Kazimierz Wielki”. Był to, nawiasem mówiąc, pierwszy nasz dramat historyczny. Równocześnie znajduje dość czasu, aby wraz z Mostowskim i Weyssenhofem wydawać „Gazetę Narodową i Obcą”. Później widzieliśmy go w obozie pod Szezekocinami jako sekretarza i adiutanta Kościuszki. Po klęsce maciejowickiej dostaje się wraz z Naczelnikiem do niewoli i spędza dwa lata w twierdzy pietropawłowskiej. Swoje wrażenia więzienne spisał później po francusku. Odzyskawszy wolność wyjeżdża wraz z Kościuszką do Ameryki, gdzie żeni się z bogatą wdową. Teskni jednak do kraju i z chwilą utworzenia Księstwa Warszawskiego wraca do Polski. Zostaje sekretarzem stanu, członkiem Izby Edukacyjnej i jednym z najbardziej wziętych pisarzy. W tym okresie pisze powieści: „Dwa Ściechowie”, „Lejba i Siora”, „Jan z Teczyna”, tworzy dramat i komedie historyczne („Giermkowie króla Jana”, „Jadwiga”, „Zbigniew”, „Samolub”), wydaje poematy („Prometeusz”, „Moje przemiany”), bajki, swe słynne Śpiewy Historyczne, zajmujące się historią i pamiętnikarstwem. Po wybuchu powstania listopadowego osiada w Paryżu i tam umiera.

Wychowanek epoki stanisławowskiej zadziwia nas swą żywotnością i pasją twórczą. Był heroldem romantyzmu, ceniał literaturę angielską i niemiecką i po raz pierwszy wprowadza do poezji „cudowność”.

Był pisarzem oryginalnym, jeśli zważy się, że to on po raz pierwszy wprowadza na scenę komedię polityczną, że jest autorem pierwszej powieści historycznej, pierwszej ballady, pierwszego historycznego wodewilu.

STANISŁAW KROKOWSKI



Zamilowaniem do pięknego stroju odznaczają się nie tylko nasi szmatulanie, łowicze czy górale. Piękne ludowe tradycje przechowały się również na Słowacji. Na zdjęciu: rodzina słowacka w swoim odświętym ubiorze.

RZECZY

Ciekawe

łowów rybackich sieciami sporządzonymi z... naturalnej siatki, utkanej przez pewien olbrzymi gatunek pajaka. Jej włókna o przekroju 0,1 mm wytrzymują ciężar 80 gramów. Przemysłnicy wyspiarze ucinają w tym celu półmetrowej długości bambus i wstawiają go w miejsce pobytu pajaka. Ten otacza go naturalną przędzą, przyczyniając się nieświadomie do spreparowania pułapki rybackiej. Krajoby wstawiają owe sidsy w miejsca przepływu ryb i chwytają w ten sposób sztuki o wadze do półtora kilograma. Tego rodzaju nieskomplikowane narzędzia za stawiają również na przelatających ptactwo, wielkie motyle i nietoperze.

JASZCZURKI-OLBRZYMY

Na wyspach Galapagos znajduje się ciekawy relikw zamierzchłych czasów w postaci jaszczurki o długości dochodzącej półtora metra. Posiada ona ubarwienie koloru czarnego, stale przebywa na skraju skalistego wybrzeża, żerując na roślinno-

„Mikrus” — to nie większy od paznokcia. No, bo ma tylko 10 mm długości i tyleż milimetrów średnicy. Ale ma w sobie „zakłętą moc”, siłę potężną, która potrafi przeniknąć nawet 20 cm grubości stalowej płyty, ściany potężnych kotłów wysokopiętnych czy równie potężnych rurociągów.

Ten niezmiennie pożyteczny dla badań naukowych „mikrus” — to izotop kobaltu — zwany przez fachowców kobaltem 60, czyli fachowo — ^{60}Co . Jego zakłętą moc i siłę — to promieniowanie. Izotop wysyła stale w przestrzeń tzw. promienie gamma, promienie wszechobylskie, przenikające prawie przez wszystko. Dlatego obciążając tym promieniotwórczym „mikrusem”, trzeba bardzo, ale to bardzo uważać...

Spotkaliśmy się oko w oko z radioaktywnym izotopem kobaltu 60 w podziemiach Zakładu Radiologii Przemysłowej Instytutu Elektrotechniki. Właśnie ten zakład jako pierwszy w Polsce zaprzęgał groźny izotop kobaltu w twardej i pożytecznej służbie dla człowieka.

Ale tak jak jadłowitego węża trzeba naprzód schwytać i wywabić mu jad zębów, żeby przeprowadzić z nim — bez obawy — jakieś doświadczenia — tak trzeba było i ów kobalt uczynić dla człowieka niegroźnym. Jak to zrobiono?

Po prostu zamknięto „mikrusa” w ołowianym... więzieniu. Ściany tego więzienia mają grubość aż 17 cm. Paradoks — sam kobalt waży kilkanaście gramów, a jego ołowiane „więzienie” ma wagę aż 350 kg. Jeżeli wyda się to komuś niezrozumiałe — przytoczymy wymowne porównanie. A więc — jeśli położymy nasz kawałeczek kobaltu na wolnym powietrzu, to człowiek może się do niego zbliżyć bezkarnie na odległość 90 m. W bliższej odległości narażenie jest na niebezpieczne poparzenie promieniami gamma. Można jed-

nak zbliżyć się doń na odległość 1 metra, ale wtedy człowiek musi stanąć za betonową ścianą grubości 62 cm lub za ołowianą płytą grubości 15 cm. Taka już modyfikacja w tym małym kawałeczku kobaltu.

Zamknęliśmy więc naszego „mikrusa” w ołowianym więzieniu i unieszkodliwiliśmy. Ale jak go zaprzęgać do pracy dla człowieka? Zaraz się o tym dowiemy...

Wybieramy się właśnie do podziemi Zakładu Radiologii, gdzie zobaczymy ciekawy i pomysłowy przyrząd, przy którym pomocy izotopu kobaltu pożytecznie pracuje i oddaje nieocenione wprost usługi. Prowadzą nas dwaj przewodnicy zakładu — kandydat nauk technicznych — Radwan i mgr Domanus — dwaj pogromcy groźnego izotopu. Przed wszystkim zabieramy z sobą licznik Geigera. Jest to nieduża, podłużna, metalowa skrzyneczka, z jednej strony zaopatrzona w głośniczek, a z drugiej pełna wyłączników, galek, różnych skal, podziałek. Już przy wejściu do pomieszczenia, w którym znajduje się promieniotwórczy izotop, w głośniku rozlegają się pierwsze, ciche jeszcze i rzadkie „pykania”. A więc już tu izotop daje znać o sobie.

Podchodzimy bliżej. Głośnik denerwuje się coraz głośniejsze, coraz częstsze są alarmujące „pik, pik, pik”. Widzimy aparat przypominający nieco aparaty rentgenowskie. U podstawy — duża ołowiana skrzynka, właśnie to więzienie, w którym zamknięto kobalt. — Nad skrzynką — metalowa kolumna podtrzymująca drugą ołowianą kulę. Ta mniejsza kula połączona jest elastycznym węzłem z „więzieniem” kobaltu.

Ale jak się bada tym aparatem, któremu nadano nazwę defektoskopu, różne przedmioty? Badany przedmiot umieszczamy przed kulą ołowianą, za nią umieszczają się błona rentgenowska. Tę czynność mogą wykonywać ludzie bez żadnej obawy, bo izotop kobaltu siedzi jeszcze za grubą ołowianą zasłoną. Teraz trzeba go z tego więzienia wydobyć, przesunąć w elastycznym węźle do mniejszej kuli i rozpocząć naświetlanie. Chwila przejęcia izotopu przez elastyczny węzeł jest najgroźniejsza dla człowieka: w pomieszczeniu nie może być nikogo. Człowiek sterujący aparatem znajduje się za grubą betonową ścianą.

Po zakończeniu naświetlania wywołujemy kliszę i otrzymujemy na niej doskonale wyraźne radiograficzne zdjęcie badanego przedmiotu, podobne do zdjęć rentgenowskich. W ten sposób defektoskop może wykrywać wszelkie wady w grubych stalowych odlewach — a więc pęcherze, rysy, zanieszczenia itp. Można też badać tym przyrządem trwałość szwów spawalniczych i również wykrywać wady, które mogą być przyczyną jakiegokolwiek awarii czy niedokładności w pracy badanego urządzenia.

O tym, jak wielkie usługi oddaje promieniotwórczy kobalt w tych badaniach, niech znów mówią porównanie: przy pomocy bardzo silnego aparatu rentgenowskiego o napięciu do 250 tys. Volt można badać wyroby stalowe o grubości do 80 mm. Grubszych wyrobów — a takimi są przecież potężne rurociągi, potężne kotły na wysokie ciśnienie — poprzednio badać rentgenem nie mogliśmy. Izotop kobaltu daje nam więc o wiele większą energię promieniowania, dzięki temu promienie gamma mogą przeniknąć tak grube stalowe przedmioty.

Obecnie Zakład Radiologii, mając do swej dyspozycji dostarczone nam przez Związek Radziecki izotop kobaltu 60 i ów aparat, defektoskop — opracowuje praktyczne metody defektoskopii a także instrukcje i wskazówki, jak korzystać z danego aparatu. Zapewne po kilku miesiącach, gdy wykonane zostaną pierwsze prace naukowo-badawcze i doświadczalne — defektoskop będzie oddany na stałą służbę dla naszego przemysłu.

(jot)

RAJAROWA RYBA

W rzekach i jeziorach Afryki centralnej żyje ryba o nazwie Mormyrus — inaczej ryba słonowa. Osiąga ona długość do jednego metra, a pysk jej przypomina wyglądem trąbę słonia. Mormyrus przebywa przeważnie w mulistych dnach, gdzie szuka pokarmu. Z uwagi na licznych wrogów, natura obdarzyła ową rybę organem ochronnym, przypominającym w swym działaniu przyrząd radarowy. Mianowicie Mormyrus posiada w ogonie swoisty narząd, umożliwiający wydzielanie w ciągu jednej minuty około setki impulsów elektromagnetycznych. Fałszywe odbicie przyjmowane są z kolei przez organ, znajdujący się u nasady płetwy grzbietowej. W ten sposób ostrożna ryba zabezpiecza się przed wrogami.

(jot)

Wiosenne podarunki

(Ciąg dalszy ze str. 1)

ciekawostek z zakresu kultury i literatury, wreszcie ulubionym i utalentowanym pióro dla dzieci. Na liczne jego tomiki rymów dziecięcych, które zapowiadają w maju i czerwcu wydawnictwa cieszą się zresztą nie tylko mali i młodsi, ale także starsi i starszy czytelnicy tych wierszy. A oto szczegóły: w maju „Nasza Księgarnia” da nam tuwimowskie „Wiersze dla dzieci” (60 000 egz.), „Iskry” zaś tomik pt.: „Wiosny i jesienie”. W maju zresztą książeczkę dla najmłodszych przygotował również ukochany mistrz Tuwima — Leopold Staff, pod nader aktualnym tytułem: „Deszcz majowy” („Nasza Księgarnia” — 200 000 nakładu). Wróćmy jednak do Tuwima dla dzieci: w czerwcu otrzymamy od „Naszej Księgarni” jedną z najsympatyczniejszych jego książeczek: „Zosie — Samosie” (60 000 nakładu).

Poręczmy teraz na chwilę teren Polski i zorientujmy się w obietnicach wydawniczych w dziedzinie klasycznej literatury obcych narodów. Z racji Roku Romantyzmu wydanie wreszcie tak długo oczekiwane przez polskich czytelników tom utworów Byrona — jednego z najznakomitszych angielskich poetów i dramaturgów. Będą to (nakładem PIW-u) „Wędrowniki Childe Harolda” — czy przypadek nie w zbyt małym nakładzie 10 000 egzemplarzy? PIW również wyda w maju utwór wspaniałego rosyjskiego dramaturga i poety romantycznego — Michała Lermontowa: „Hiszpanie”. Jeśli już jesteśmy przy literaturze rosyjskiej, wydawnictwo to w czerwcu wznawia „Piotra Pierwszego” Aleksieja Tołstoja, wypuszcza na rynek księgarski duży dwutomowy wybór poezji Niekrasowa (do którego czuła szczególną sympatię Tuwim — tłumacz), wreszcie daje do rąk polskiego czytelnika pierwsze powojenne wydanie „Zbrodni i kary” — Dostojewskiego, znakomitego artysty, choć wyznającego niewątpliwie wsteczne poglądy polityczne i społeczne.

Jeszcze rzut oka na zapowiedzi klasycznych utworów literatury innych narodów. Zatem cieszymy się na: „Katedrę Panny Marii” („Dzwonnik z

Notre-Dame”) Wiktora Hugo, „Bajki” La Fontaine’a, „Dyla Sowizdrzała” Costera, „Rodziny Newcomes” Thackeraya (autora „Targowiska próżności” i „Księgi Snobów”), wreszcie wznowienia „Duszy czarowanej” Romain Rollanda i „Drogi do wolności” Howarda Fasta — wszystko w dużych nakładach PIW-u! Dla miłośników twórczości autora „Jana Krzystofa” przyjemna i nieprzyjemna wiadomość: „Ossolineum” wydaje pierwszą u nas monografię, poświęconą teatrowi R. Rollanda, pióra Z. Karzewskiej (nieprzyjemna dlatego, że, iak cóż, sztuk Rollanda u nas się nie gra!).

Widzę, że pozostaje mi niewiele miejsca na omówienie niespodzianek wydawniczych: książek, które po raz pierwszy w ogóle mamy ujrzeć na półkach księgarskich w maju i czerwcu. Mogę uspokoić czytelników jedynie zapewnieniem, że nie ma tu oszałamiających niespodzianek... Autor niedawno wydanych „Rozstrajów”, Jerzy Putrament, ofiaruje swoim czytelnikom w maju utwór pt.: „Trzy powroty” będące (sądząc z opublikowanych w prasie wyjątków) powieścią z jezior mazurskich. W czerwcu otrzymamy książkę długo milczącego Jana Wiktora o frapującym tytule „Wyznanie heretyka”. Zwołennicy „lżejszej” lektury będą mogli rozkoszować się wyborem satyr znakomitego, współczesnego parodysty literackiego Artura Marj Świnarskiego (PIW). Wreszcie dwie ciekawe pozycje dla poszukiwaczy wiedzy o literaturze: książka współczesnego poety Adama Ważyka o Słowackim i studium krytyka literackiego Ryszarda Matuszewskiego o poezji Władysława Broniewskiego (również PIW).

Widzę ze smutkiem, że nie wyczerpałem ani połowy tych pięknych obietnic nowych książek na Dni Oświaty, jakie hojnie składają wydawnictwa. Ale pocieszam siebie i czytelników tym, że zapowiedzi wydawnicze, podobnie jak przepowiednie PIHM-u, nie zawsze się sprawdzają — będzie więc można może napisać o nich jeszcze innym razem...

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

CZ. NOWICKI

TAPEZAN



Pisano wiersze o sześciu planie, o eMDeeM i PeDeTe, ale nie pisał nikt o tapczanie, tapczanie z CeHaPeDe.

Kiedy przywiozłem tapczan z Centrali, każdy podziwiał, każdy go chwalił: żona, dwie córki, babcia i gość. Lecz ledwie na nim pousiadali, wnet się zawalił — widać na złość...

— Głupstwo — krzyknąłem. — Podajcie młotek, to tylko śrubka wylazła bokiem. Śrubkę się wkreci, popuka — bach! tapczan znów będzie grał, grał jak szafa, wtem znowu gafa i znowu — trrrach!!!

To tylko blaszka, niewinna blaszka, naprawić blaszkę — to dla mnie fraszka. Przybiłem. Spadła. A to ci pech! Przybiłem prawą — odpadła lewa. — Już mnie zalewa — zalewa krew.

Spadła sprężyna, odpadła szyna. Żona obcegi, córka gwóźdź trzyma, trzyma sąsiadka, babcia i gość. — Nawet się dziadek przytaskał z piłą i rznie aż miło — aż wreszcie — dość!!!

Kiedy ucichło — wzrokiem dyskretnym objąłem tapczan — widzę: kozetkę, żelastwo, wióry, warsztat nie dom... W tej sytuacji nie jest bez racji wykrzyknąć z gracją: na złom!!!

Pisano wiersze o sześciu planie, o eMDeeM i PeDeTe, więc posłuchajcie raz o tapczanie, tapczanie z CeHaPeDe.

KONRAD DOBBERSCHÜTZ



— Dziś nic nie słychać. Dziwne...

Z pamiętnika amerykańskiego reportera

Jak rozpocząłem pracę w redakcji

Nad bramą domu widniał potężnych rozmiarów napis „Sun and Women”. Była to redakcja dziennika, w którym miałem rozpocząć pracę jako reporter. Spojrzałem w lusterko, przysiadłem w łóżku, mocniej ścisnąłem węzeł krawatu i już miałem wejść, gdy drzwi, przed którymi stałem, otworzyły się i ujrzałem utkwione w siebie zdziwione spojrzenie dwójki niebieskich oczu. Wymalowane na fioletowo usta rozchyliły się w uśmiechu.

— Hallo, wyglądasz interesująco!

— Ja, ja... przyszedłem do naczelnego redaktora — wyjąkałem.

— Czy poszedłbyś dziś ze mną do kina?

— Ależ pan! Proszę mi powiedzieć, gdzie jest wasz boss?

— Dzisiaj dał świetny film. „Trup na moście”.



Wyciągnąwszy mi krawat spod marynarki, nawijała go sobie na palec nie dając dojść do słowa.

— Jak on jest piękny! Ten Ralph — wiesz. Widziałam go na plakatach. Stoi z okrwawionym nożem w ręku. U nóg jego leży trzech facetów, z którymi podob-

no rozprawił się w ciągu minuty. A ta blondynka w kostiumie kąpielowym, która tak przytulała się do niego — tu dziewczę pokazało mi, jak to się odbywa — to jest Betty. Ona kocha Ralph'a. Ale później otruje go, żeby pomścić śmierć jednego ze swoich kochanków, którego Ralph zrzucił z 10 piętra. Pójdiesz, prawda? Czekam o 17 w kawiarni „Atomik”. Do zobaczenia, dziubusi! — dziewczę zrzęcznie pociągnęło mnie za koniec nosa i zbiegło po schodach.

Jeszcze raz poprawiłem krawat i wszedłem. Długi korytarz. Zza pierwszych drzwi z brzęgu podniosły się głosy. Na moje pukanie odpowiedziano głośnym przekleństwem, a ponieważ nie wcale nie usłyszałem, przyjałem to za zaproszenie i wszedłem.

Za biurkiem siedział przystojny mężczyzna w jaskrawo kolorowej koszuli, na której gdzieś w okolicy serca widniał napis: „Miłuj bliźniego”. Nogi wyciągnął swobodnie na biurko. Stanąłem pod ścianą, a obaj panowie kontynuowali rozmowę.

— Ja mu mówię — ryczał ten z łaską — to ty, śmierzdząca śliwko, jesteś z tego zapowietrzonego szmalawca „Daily Bluff”, który chce z nami konkurować? Teraz nie dziwię się, że sprzedajecie tak mało egzemplarzy swego ponurego pismidła, skoro takie kreatury, jak ty, drukują tam wypo-

cinę swojej ptasiej mózgowicy!

— Dobrze mu powiedziałeś — zarechotał ten zza biurka.

— Słuchaj dalej. Kiedy ten du-

reń coś mi odpowiedział, ja znowu:

Ty stary cuchnący gnacie, lepiej

Mój znajomy kierownik budowy

Na placu budowy go nie zastałem. Wiadomo — kierownik ma dziesiątki innych zajęć. Nie zmartwiłem się zresztą tym niepowodzeniem, bo lubię się przyglądać pracy na budowach. Tyle jest tam przecież do obserwowania a nawet — można się niefjednemu nauczyć.

Byłem na przykład dotąd przekonany, że pustaki produkują się po to, by robić z nich stropy i ściany. Okazało się, że moja wiedza w tym zakresie była zawstydzająco skromna. Właśnie zbliżyliśmy się do samochodu, z którego robotnicy wyładowywali pustaki. Wykonywali tę czynność z tak chwalebny zapałem, że z nie małym każdym wyrzuconego pustaka robili się co najmniej dwa. Zapytałem się wtedy, czy kierownik budowy zezwala na takie wyładowywanie tego towaru.

— A co nie ma zezwalać? — zachnął się stojący obok majster. — Przecież ludzie muszą zarobić. Tu jest akord, mój panie! Zresztą ta sztuczka nam się przyda. Mamy tu kłaseć betonowe chodniki, damy ją więc na spód.

— Ach tak — pomyślałem sobie, — sztuczka jest potrzebna do układania betonowych chodników, a ponieważ nie potrafimy wyrabiać jej w stanie gotowym, musimy najpierw produkować pustaki.

Następnego oświecenia doznałem na widok nowego i praktycznego sposobu użytkowania tarcicy. Porozkładana wśród błota, znakomicie ułatwia chodzenie po terenie budowy. Naocznie mogłem stwierdzić, że szczególnie się do tego nadaje tarcica świeża, która swoją białością przydaje te renowi malowniczości wyglądu.

Przechodziliśmy potem obok dużego i głębokiego dołu, który zaczęto zasypywać gruzem i żelastwem. Od spodu przeświecała biel wapna.

— Jeszcze wapna nie wybra-

liście a już zasypujecie dół?

— zagadnąłem majstra. —

Niechby to kierownik zauwa-

żył...

— Kierownik? Przecież to

on polecił gruz tutaj wyrzu-

cać, no, bo — gdzie go po-

dziać... A tych kilka metrów

wapna? — głupstwo.

— Uczęłem się trochę zawsty-

dzony tym, że zwracam uwagę

na głupstwa a mimo to nie mo-

głem przejść obojętnie obok

kilkudziesięciu papierowych

worków, z których deszcz i

śłońce nie zdołały jeszcze ze-

trzeć napisów: cement.

— Powinniście to wnieść

pod dach — odezwał się —

bo może się popsuć.

— Już mu nic nie pomoże.

Trzeba go będzie też do dołu

wrzucić. Za długo stał na wilgotnym powietrzu.

Przed opuszczeniem placu budowy mogłem jeszcze podziwiać pracę maszyny zwanej spychaczem. Dotąd byłem przekonany, że maszyna taka, mając np. zasypać jakiś wykop, spycha do dołu tylko ziemię. Nalwność... Maszyna, którą obserwo wałem, spychała wszystko, co leżało na jej drodze: drzewo, tarcice, kłose, słupy, belki, ba — nawet przedmioty żelazne.

— Czy nie szkoda zakopy-

wać tyle drzewa w ziemi?... —

odezwał się.

— Może i szkoda; cóż, kie-

dy maszyna ziemi od drewna

nie odróżnia — rzeczowo stwier-

dził mój rozmówca.

— Z tego wniosek, że na-

sze wynalazki dalekie jeszcze

są od doskonałości.

— A pewnie... Jeszcze w my-

śleniu człowiekowi nie dorów-

nują — odpowiedział.

Z głową pełną wątpliwości

ruszyłem do mieszkania kiero-

wnika. Przed drzwiami usły-

szalem podniesione głosy we-

wnątrz. Wyglądało na małżeń-

ską sprzeczkę. Nie myliłem

się. Byli nieco zaaferowani, kiedy wypadło im przywitać się ze mną.

— Może wam przeszkadzam? — zagadnąłem.

— Ależ nie, skądże. Siadaj. Prowadziliśmy z żoną skromną wymianę zdań. Na temat marnotrawstwa.

— To musi być interesujące — powiedziałem.

— Zwłaszcza, że się na tym punkcie z mężem nie zgadzamy — dopowiedziała ona.

— Nic dziwnego, że się nie

zgadzacie — pomyślałem so-

bie. — Jesteś na pewno gospo-

darna i boli cię, gdy widzisz

jego marnotrawstwo. Dobrze

się składa, że jest nas dwoje.

Może wspólnie uda się nam na

niego wpłynąć.

— Mam powody, by się do

tej wymiany zdań przyłączyć

— zaproponowałem.

— Brawo! — wykrzyknął —

zapraszam cię na arbitra. O-

sądź, czy nie mam racji, gdy

się złościę... Wyobraź sobie,

przed rokiem żona zabiła spo-

dek a dziesiąt — filiżankę. Czy

ty byś się nie wściekał, wi-

dząc takie marnotrawstwo?

ANATOL KOŃSKI



— On liczy na „Anschluss” — tak mu powiedzieli w Bonn...

(Eulenspiegel)



— Wyjm ręce z kieszeni, kiedy rozmawiasz ze starszymi!...

(Reveille)

ADAM MICKIEWICZ

F · R · A · S · Z · K · A

(W związku z chronicznym brakiem krzeseł na „Czwartkach literackich” w Poznaniu)

Trudno było: bo krzeseł dla gości nie stało. Na czterech ławach cztery ich rzędy siedziało.

(„Pan Tadeusz”, ks. I)

Podał do druku: MIK

(tu zjął koszulę, aby pokazać oklejony plastrami bok). Wiesz, co ja wtedy zrobiłem? Złapałem głębszy oddech i...

Przewidując, że miły młodzieniec długo jeszcze będzie zdejmował dalsze części garderoby, wyszedłem na środek pokoju i możliwie miłym głosem spytałem, gdzie zastanę teraz naczelnego redaktora. Obaj spojrzeli na mnie złym wzrokiem, wreszcie ten zza biurka rzekł krótko: ostatnie drzwi.

Wchodzę. Trzy młode kobiety słuchały opowiadania czwartej, siedzącej na parapecie z nogami zwieszonymi poza okno.

— Myślicie, że on się tym prze-raził, że ich było czterech? Dwóch od razu zastrzelili, trzecie go tak trzasnął w szczękę, że wybił mu wszystkie przednie zęby — w tym dwa złote — a ten czwarty, widząc co się dzieje, sam wyskoczył oknem. Ale to nie koniec. Otwiera drzwi do łazienki, patrzy, a tam...

Czułem, że jeszcze chwila, a nie zapanuję nad nerwami. Ostrem tonem spytałem o naczelnego. Będąc za drzwiami, usłyszałem kilka epitetów, jak gbur, osioł itp. Zdaje się, że były skierowane pod moim adresem.

Nareszcie ten pokój. Zapukałem, wszedłem. Za biurkiem sie-



dział starszy jegomość z wyblakłymi oczami i sporą brodawką na nosie. Obok niego na krześle ciał się jakiś młodziźna w wojskowym mundurze.

Na moje głośnie chrząknięcie jegomość z wyblakłymi oczami zwrócił się do wojskowego i spytał — co dalej?

— Skończyłem na tym — mówił wojskowy — że obaj leżą na chodniku. Wtedy Fred wyłagał rewolwer — tu wojskowy rzeczywiście wyciągnął z kieszeni broń i wymierzył we mnie — bierze go na muszkę...

Tego było już za dużo. Podbiegłem do wojskowego. Wyrwałem mu rewolwer, zastrzelłem naczelnego redaktora, następnie pobiegłem piętro niżej, zrzuciłem z okna siedzącą na parapecie sekretarkę, w dalszym pokoju znokautowałem młodzieńca z łaską, tamtemu z napisem na koszuli: „Miłuj bliźniego” — wybiłem przednie zęby i...

...i wybiegłem na ulicę w poszukiwaniu niebieskookiego dziewczęcia, aby pójść z nią obejrzeć film, w którym Betty kocha Ralph'a, ale później truje go, chcąc pomścić w ten sposób śmierć jednego ze swych kochanków, którego Ralph zrzucił z 10 piętra.

H. J.

po witce do KIEBKA

ULATWIAJĄ PRACĘ — SOBIE

Wrzesiński piekarze żywią głęboki wstręt do wypiekania tak zwanych małych bułek. Pieką tylko duże. Oczywiście tkwi w tym głęboki sens. Łatwiej jest sfabrykować jedną dużą bułkę, niż dwie małe — po co się męczyć? A że konsumenci myślą inaczej — no to co, mogą nie kupować.

Ciekawe tylko, co by wrzesiński piekarze powiedzieli, gdyby im na przykład w sklepie obuwicznym zamiast pary butów zaproponowano kupno jednego — ale za to takiego na miarę Guliwera?...

DLA RÓWNOWAGI

Nie narzekaj, jeśli dostaniesz w sklepie nie zapakowaną kielbasę czy bułki. Nie sprzeczać się, gdy ekspedientka tłumaczy, że trudno, nie ma papieru.

Pamiętaj w takich chwilach o tym, że nasi handlowcy bardzo uczciwie przestrzegają zasad równowagi. Bułkę podają ci wprawdzie bez papieru, ale za to na przykład płatki owsiane otrzymujesz w eleganckim, estetycznym kartonikowym opakowaniu — z obrazkiem. Nie powinien ci także zepsuć wówczas humoru fakt, że za taką paczkę płacisz o 1,30 zł drożej, niż za kilogram płatków na wagę.

Równowaga jest zachowana — to grunt! W. H.

A TO CI UCIECHA!

Ci, którzy narzekają na brak dyskusji o filmach, byliby wniebowzięci, gdyby przyjechali do Osiecznej. W tamtejszym kinie „Uciecha” dyskusja odbywa się na każdym seansie. Przeważnie do rzeczy ona rozpoznania tego, co wydobywa się z głośnika. Zdania są przy tym podzielone. Jedni twierdzą, że to muzyka, inni — że słowa. O bliższym zidentyfikowaniu dźwięków nikt w Osiecznej nie marzy. Marzy natomiast o filmach zagranicznych, jako że te mają napisy. Wówczas publiczność siedzi spokojnie. Zresztą — musi siedzieć spokojnie. Inaczej może spaść z krzeseł, które mają nierzadko tylko trzy nogi...

Poza tym w kinie w Osiecznej jest wszystko w porządku.

Nadesłał: Z. Stritzke

POCZTA NOWEGO ŚWIATA

Stanisław Jesionowski, Konstantów, Marian Domek, Poznań. Nadesłany wiersz odznacza się żarliwością, ale jego forma jest słaba. Radzimy czytać wiele Brońskiego, Tuwima, Staffa.

„Kazio Be”, Poznań. — Krzyś, najmłodszy korespondent „Głosu”, jest nieco zgorszony formą listu, ale mówi, że ma Pan rację. Materiał wykorzystamy w satyrycznym reportażu.

„Debutantka”, Poznań. — Pi-

sze Pani tak:

„Głosie” ukochany!

Z gwiazd nam tu zesłany!

Tworzy wyobraźni,

Drgnienia mojej jaźni

Do Twoich rzucam stóp.

To, co chcesz, z nimi rób.

Na łamy „Świata” puść,

Lub do kosza je rzuc.

Chcieliśmy skorzystać z możliwości wyboru, lecz byliśmy ciekawi zakończenia. Okazało się, że jest ono prorocze:

„Nowy Świat” płacze, lka:

Tylko dwa? Więcej trza!

Nie martw się, kochanie,

Więcej jestem w stanie!

Pocieszamy się tym, że czo-

wiek jednak nie zawsze dotrzy-

muje tego, co obiecał. Werszy

nie wydrukujemy.



Wiosenny spacer specjalisty od chorób sercowych.